Nr. 11 | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, listopad 1927 | Rok XLVIII

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

KALENDARZ ŁOWIECKI **W listopadzie wolno polować** na wszelką zwierzynę łowną.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 7·50 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 2·50 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

W dniu 3. listopada, poświęconym czci św. Huberta, odbędzie się staraniem M. T. Ł. doroczna msza św. w kaplicy św. Patrona Łowiectwa w kościele św. Elżbiety we Lwowie, o godzinie 10-tej.

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

Ciąg dalszy

XV Zjazd myśliwski a XXXV z rzędu Walne Zgromadzenie gal. Towarzystwa łowieckiego otwiera dnia 3 czerwca 1911 prezes St. hr. Stadnicki.

Na wstępie wyraża ponownie imieniem Towarzystwa uznanie krajowemu Komitetowi wystawowemu za jego energiczną działalność, dzięki której łowiectwo nasze na Międzynarodowej wystawie myśliwskiej w Wiedniu 1910 r. wiekopomną okryło się sławą.

Poczem przechodzi do sprawy zamierzonej zmiany statutu Towarzystwa — projektowanej przez dr. Sandera - i podaje do Wiadomości Walnego Zgromadzenia, że Wydział, uzyskawszy w drodze memorjału dodatkowe do przepisów wykonawczych ust. łowieckiej rozporządzenia Namiestnictwa, które delegatom Towarzystwa znaczny i dodatni przyznają wpływ na gospodarkę łowiecką, co się już w praktyce wielokrotnie ujawniło, tudzież wobec faktu, że Towarzystwo z każdym dniem niemal przy swym dotychczasowym statucie, pomyślnie się rozwija i skutecznie działa, powziął na posiedzeniu w dniu 22. maja 1911 r. jednomyślną uchwałę — z wyjątkiem *votum separatum* projektodawcy — zamierzonej zmiany statutu nie uchwalać.

Zagajenie zakończył prezes słowami gorącego wspomnienia zmarłym w tym okresie członkom Towarzystwa. Są nimi: Czecz de Lindenwald Karol, Godowski Władysław, Kochanowicz Hilary, Krumpholz Tadeusz, ks. Laurecki Jan, Ostrzechowski Jan, Piniński hr. Stanisław, Romanowski Tadeusz, Seferowicz Stefan, Sumiński hr. Artur, Ujejski Bronisław, Weiss v. Wissefeld.

Zebrani przez powstanie z miejsc oddają cześć ich pamięci.

Po przyjęciu protokołu z ostatniego Zjazdu — bez dyskusji — do wiadomości, rozwija się nad sprawozdaniem z czynności Wydziału za rok 1910/11 ożywiona dyskusja.

Najpierw dr. Sander domaga się sporządzenia nowego spisu członków i delegatów Towarzystwa według powiatów. Wniosek ten uchwalono z poprawkami członka Szawłowskiego, by Wydział co pół roku ogłaszał spis delegatów powiatami, zaś raz w rok spis wszystkich członków. Następnie ostatni wnosi, aby Towarzystwo nasze wpisało się do austr. Związku łowieckiego. Po wyjaśnieniach jednak wicepr. Krogulskiego i red. Mniszka, że pomieniony Związek — „Reichsjagdverband w Wiedniu", — do którego Towarzystwo nasze przez 3 lata należało, nic zgoła dla nas nie zdziałał, bo uprawia tylko sprawy zaściankowe, wobec czego wystąpiliśmy z tego Związku, natomiast poparcia spraw naszych szukać należy w urzędujących stale komisjach międzynarodowego kongresu łowieckiego, wnioskodawca wniosek swój cofnął.

Dr. Sander stawia wniosek, aby wpisowe do Towarzystwa znieść zupełnie, a zawodowym leśnikom zniżyć wkładkę o połowę, ewentualnie zwolnić ich od opłaty wpisowego.

Po długiej rozprawie, w której zabierali głos hr. Bielski, Szawłowski i Krogulski, który oświadczył, że proceder taki praktykuje się właśnie w pomienionych okolicznościach już od lat siedmiu, odesłano wniosek ten, jako wkraczający w zmianę statutu Towarzystwa, do Wydziału, celem rozpatrzenia go i zdania sprawy przyszłemu Zjazdowi.

Taki sam los spotkał wniosek delegata K. Wysockiego o dodatku do § 16 statutu, aby Wydział Towarzystwa mianował dla każdego okręgu sądowego w powiatach przewodniczącego delegatów, którego obowiązkiem będzie, przynajmniej dwa razy w roku zwoływać posiedzenie danego grona delegatów, celem omawiania żywotnych spraw łowieckich. Odpis protokołu posiedzenia ma być przedłożony Wydziałowi Towarzystwa.

Stanisław hr. Mycielski stawia następujące dwa wnioski:

Walne Zgromadzenie uchwala:

1. Wyrazić szczerą wdzięczność kraj. Komitetowi wystawowemu, a w szczególności jego prezydjum, t. j. prezesowi ks. Andrzejowi Lubomirskiemu, wiceprezesowi J. A. hr. Bielskiemu i Janowi br. Götz-Okocimskiemu, tudzież S. Krogulskiemu, A. Mniszkowi, K. Drahonowsky'emu i E. Schechtlowi, za ich dodatnią działalność w Komitecie.

2. Aby uznaniu temu dać stały wyraz, mianować ks. Andrzeja Lubomirskiego honorowym członkiem Towarzystwa.

Oba wnioski te z entuzjazmem i jednomyślnie uchwalono.

Członek Tow. Stenzel interpeluje Wydział, dlaczego mimo uchwały Waln. Zgrom., „Łowiec" nie jest jeszcze należycie ilustrowany. Odpowiedzieli mu na to wicepr. Krogulski i red. Mniszek, że chodzi przedewszystkiem o ilustrowanie „Łowca" na motywach swojskich, a takich klisz w handlu niema. Rada jedyna, aby członkowie dostarczali redakcji dobre zdjęcia z naszych scen my-

śliwskich, a klisze się wykona. Jednakże dotychczasowe kilkakrotne zwracanie się redakcji w tym przedmiocie do członków nie odniosło pożądanego skutku, — czyni się więc co można, t. j. zdobi się polskie czasopismo z konieczności kliszami niemieckiemi.

Dr. Sander podnosi, że na posiedzeniu Wydziału Tow. postawił wniosek, aby na ilustrowanie i bogatszą treść „Łowca“ wyznaczyć 1.000—1.200 K., ale niestety wniosek ten upadł.

Wicepr. Krogulski oznajmia, że twierdzenie dr. Sandera polega widocznie na jakiemś nieporozrmieniu, albowiem wniosek jego nie upadł, lecz owszem uchwalono go przekazać referentowi preliminarza do możliwie korzystnego uwzględnienia. Niezbitym zaś dowodem faktycznego stanu rzeczy, jest przedłożony Waln. Zgrom. preliminarz na r. 1911, który wydatek łączny na oba te cele, wykazuje w sumie 1.300 K., a zatem o 100 K. wyższej od proponowanej przez wnioskodawcę.

Delegatowi K. Wysockiemu, na pytanie, dlaczego wniosek jego, by jednocześnie ze Zjazdem odbywały się też i wystawy rusznikarskie, nie przyszedł do skutku, odpowiada wpr. Krogulski, że Wydział dawał w tym względzie rusznikarzom niejednokrotnie inicjatywę; jeżeli więc rzecz ta nie przyszła do skutku — nie Wydziału w tem wina.

Po uchwaleniu preliminarza na rok 1911 i udzieleniu absolutorjum z zamknięcia rachunków za r. 1910, wykazujących zapas kasowy netto w sumie 4.012 K., przystąpiono do wyborów.

Ustępujące w myśl statutu prezydjum Wydziału, a więc prezesa St. hr. Stadnickiego, wiceprezesów J. hr. Bielskiego i S. Krogulskiego, tudzież ustępujących członków Wydziału Małaczyńskiego, dr. Mazurka i Piegłowskiego wybrano przez aklamację ponownie. W miejsce członków T. Jędrzejowicza i J. Czeżowskiego wybrano J. hr. Tarnowskiego i St. Pieńczykowskiego. Na zastępców powołano T. Gordaszewskiego i C. Kochanowskiego.

Dr. Wł. Sołowij porusza wadliwość kodyfikacji § 60 nowej ustawy łowieckiej i czyni wniosek, by Wydział postarał się o zmianę tego przepisu, który ma opiewać — jak poprzednio, — że za plony niezebrane np. pozostawione w stogach siano na połoninach, odszkodowania się nie płaci.

Dr. Józef Ekielski stawia bardzo sympatyczny wniosek w przedmiocie zbudowania w kościele św. Elżbiety we Lwowie ku czci św. Huberta ołtarza.

Wniosek ten uchwalono z dodatkiem delegata Tow. Kazimierza Wysockiego, by wezwać myśliwych do ścią-



gania drobnych kwot na ten cel za chybne strzały na polowaniach gremjalnych od uczestników łowów.

Po wyczerpaniu porządku dziennego, Walne Zgromadzenie, na skutek przemówienia K. Wysockiego, pełnego poważnych i gorących słów uznania dla Prezydjum i Wydziału Towarzystwa za dodatnią pracę, uchwaliło jednomyślnie podziękowanie.

* * *

NA STRZELNICY.

Tym razem największą atrakcją dla ubiegających się o palmę pierwszeństwa w kunszcie strzelania była nagroda mistrzowska, ufundowana sumptem członka Towarzystwa Marjana Jaroszyńskiego — cenny, artystycznej roboty kordelas.

Do zapasów o wywalczenie tej nagrody stają tylko ci członkowie Towarzystwa, którzy danego dnia popisów strzeleckich pierwsze zdobyli premje.

W „strzelaniu zwycięzców“ — tak się ono zowie — o „nagrodę mistrzowską“ wolno używać wyłącznie tylko trójlufków, jako broni myśliwskiej w naszych stosunkach najodpowiedniejszej i uniwersalnej. (Wola fundatora).

Myśliwy, przepasany tym kordelasem, zdobywa prawo do szczytnego miana „mistrza“.

Kordelas ten staje się własnością tego, kto go dwa razy rok po roku wygra.

Wobec pociągającej możliwości uzyskania wysoce zaszczytnego miana mistrza, większa tym razem, niż zwykle, zgłosiła się do zawodów strzeleckich liczba uczestników.

Nagrody I dnia tego uzyskali:

St. Bromilski trzy, Henryk Prek dwie, Edward Münter, Wład. Zagórski, ks. Jerzy Lubomirski.

Turniej tych pięciu premjantów zakończył się pięknem, emocjonującem widzów strzelaniem o zdobycie miana mistrza. Uzyskał je delegat Tow. Henryk Prek, zwyciężając współzawodników osiągnięciem — dwu czwórek do dzika i lisa oraz rozbiciem krążka, spełniając w ten sposób najdoskonalej warunki ustanowione przez fundatora mistrzowskiej nagrody. C. d. n.

WITOŁD ZIEMBICKI

Kazimierz hr. Wodzicki w piśmiennictwie niemieckiem.

Jedno z najpiękniejszych wspomnień pośmiertnych o ś. p. Kazimierzu hr. Wodzickim napisał Wojciech hr. Dzieduszycki w *„Gazeeie Narodowej“*. Czytamy tam między innemi, następujące słowa:

„A już o tem zgoła mało kto u nas wiedział, iż Wodzicki jest znakomitym uczonym. Na to, aby się o tem dowiedzieć, trzeba zajrzeć do książki ornitologicznej, pisanej w obcym języku i przekonać się, że najznakomitsi badacze Europy kapelusz zdejmowali z ruchem pełnym poważania, ilekroć im przyszło wspomnieć o spostrzeżeniach rolnika z Olejowa“.

W słowach tych niema ani odrobiny przesady. O ile bowiem olbrzymi dorobek, jakim Wodzicki wzbogacił piśmiennictwo polskie, charakteryzuje go jako przyrodnika z Bożej łaski, genjalnego obserwatora, niezrównanego gawędziarza, — to dopiero prace, ogłoszone w czasopismach obcych, mianowicie niemieckich, utrwaliły imię jego jako uczonego. Prace te mają pokrój w ścisłem znaczeniu naukowy. Nie było wówczas organu, któryby tego rodzaju prace mógł publikować w języku polskim. W języku niemieckim drukował się natomiast już wtedy cały szereg pism fachowych, poświęconych w szczególności ornitologji.

Ogłoszona przezemnie „Bibljografja prac Kazimierza hr. Wodzickiego z zakresu przyrody, łowiectwa i gospodarstwa“ [1]), obejmowała wyłącznie prace polskie. W niniejszej notatce zestawiłem prace, drukowane w języku niemieckim i wymieniam je w porządku chronologicznym. Szereg ich jest znacznie krótszy, niż tamtych, ale wartość pierwszorzędna, co zresztą wynika już z tego jedynego faktu, że tu gościny udzielały Wodzickiemu organy, należące w swoim rodzaju do najpierwszych w Europie. Gotowość, z jaką tej gościny udzielały mu obce nam redakcje, skwapliwość, z jaką przyswajały niemieckiemu piśmiennictwu niektóre z polskiego tłumaczone prace Wodzickiego, odznaczenie go przez umieszczenie jego nazwiska wśród współpracowników na karcie tytułowej jednego ze zbiorowych tomów czasopisma *„Journal für Ornithologie“*, — wszystko to przynosi zaszczyt prawdziwy temu badaczowi i polskiej nauce.

Przystępuję do zestawienia.

Ueber Muscicapa parva und einige Calamoherpen. *Naumannia*, II., 1852., p. 43—50.

Ueber einige noch wenig bekannte Vögel-Arten in Ost-Galizien. Ibidem. p. 63—71.

Ueber Aquila minuta Brehm, **und pennata,** — Brief. Ibidem III. 1853. p. 93.

Einige Worte gewissenhafter Beobachtungen über die Fortpflanzung des Rallus aquaticus, Linn. Ibidem. p. 267—276.

Ueber den Einfluss der Vögel auf die Feld- u. Waldwirtschaft im allgemeinen wie insbesondere auf die waldschädlichen Insecten. Lemberg 1851., 27 S., gr. 8-vo. Journal für Ornithologie I. 1853., Hft. IV., N. 4., p. 293—299.

Ornithologischer Ausflug in das Tatragebirge u. die galizischen Karpathen, unternommen zu Anfang Juni's 1850. Ibidem. N. 6., p. 421— 446.

Uw.: Dwa powyższe artykuły, umieszczone w rozdziale p. t. „Literarische Berichte“ są to bardzo obszerne streszczenia znanych polskich prac Wodzickiego „O wpływie, jaki wywierają ptaki it.d.“ i „Wycieczka ornitologiczna i t. d.“. Streszczenia, a w wielkiej mierze nawet dosłownego tłumaczenia

[1]) *„Łowiec“* zeszyt 7., czerwiec, b. r.

dokonał R. Wentzel. Redakcja czasopisma nie szczędzi pochwał Wodzickiemu. Dzięki temu przedrukowi owe dwie polskie rozprawy stały się odrazu głośne w całym świecie naukowym, a nazwisko Wodzickiego, jako ornitologa, stało się powszechnie znanem. Niemiecki przekład pierwszej z tych prac pojawił się także w czasopiśmie *Naumannia* III. 1853. p. 131—139.

Einige Beobachtungen über die drei schwirrenden Rohrsänger: Salicaria locustella, fluviatilis und Calamoherpe luscinioides. (Als Fortsetzung des Artikels von Dr. Ludw. Thienamann, im 2. Hefte der Zeitschrift „*Rhea*“ für 1849., S. 216.) *Journal für Ornithologie.* Extraheft: Erinnerungsschrift zum Gedächtnisse an die VII. Jahresversammlung d. deutschen Ornithologen-Gesellschaft. Cassel 1854. p. 41—50.

Zur Fortpflanzungsgeschichte des Kuckuks Ibidem p. 50—54. (Podpisano: Krakau d. 13. Juni 1853).

Das Abändern der Muscicapa parva Bechst. Ibidem p. 65—68. (Podpisano: Krakau d. 1. Juli 1853).

Uw.: Powyższe 3 prace zgłoszone były na VII. zjazd niem. Towarzystwa ornitologów, który się odbył dn. 14. lipca 1853. w Halberstadt. Wymieniony pamiętnik Zjazdu, będący dodatkiem do I. tomu „*Journal für Ornithologie*“ (1853) zawiera na okładce tytułowej następujące objaśnienie: „Mit Beiträgen von H. Lichtenstein, L. Reichenbach, J. F. Naumann, G. Hartlaub, E. v. Homeyer, H. Zander, **Graf C. Wodzicki,** L. Thienamann, W. Thienemann, W. Bädecker, L. Brehm, A. Brehm, W. Pässler, N Kjärböling, A. Hellmann und A. Fritsch, herausgegeben von Dr. Jean Cabanis“. Umieszczenie nazwiska Wodzickiego pomiędzy nazwiskami najznakomitszych współczesnych przyrodników i ornitologów, na czele najpoważniejszego wydawnictwa naukowego mówi samo za siebie. Widać z tego, jaką była jego reputacja i jakiej miary były jego spostrzeżenia.

Ornithologische Notizen. *Naumannia,* IV., 1854., p. 82—86.

Noch ein Wort über Aquila pennata. Ibidem p. 166—173.

Ornithologische Notitzen. *Journal für Ornithologie,* II., 1854., p. 85—88. (Podpizano: Krakau d. 7 October 1853).

Uw.: W tymże tomie w rubryce „Nachrichten“ p. 503., donosi redakcja o otrzymaniu w polskim oryginale obu rozpraw, w poprzednim roczniku już streszczonych po niemiecku, t. j. „O wpływie ptaków it. d.“ i „Wycieczka ornitologiczna i t. d.“

Ueber die Identität von Sylvia suecica s. coerulecula, leucocyana, Wolffii etc. Erinnerungsschrift zum Gedächtnisse an die VIII. Jahresversammlung d. deutschen Ornithologen-Gesellschaft, p. LXXXIX—CXIV. (Dodatek do *Journal für Ornithologie* II., 1854).

Der Vogelzug im Frühjahre 1855., *J. v. Orn.* III. 1855., p. 346—347. (Podpisano: Krakau, d. 6. April 1855).

Ueber Aquila pennata. *Naumannia* V., 1855., p. 65—69.

Noch ein Wort über Aquila pennata. Ibidem. p. 327.

Ornithologische Notitzen. Ibidem. p. 405.

Ornithologische Miscellen. *J. f. Orn.* IV., 1856., p. 75—84. (Zawiera: 1. Falco laniarius, 2. Aquila albicilla, 3. Corvus corax, 4. Ardea cinerea, — podpisano: Krakau im März 1855).

Notiz über Aquila chrysaëtos und Strix Bubo in Galizien. *J. f. Orn.*, V., 1857., p. 292—293. (Podpisano: Wolica in Galizien, d. 6. März 1857).

Uw.: Wreszcie w *J. f. Orn.* z r. 1859., p. 320., w rubryce: „An die Redaktion eingegangene Schriften“ znajduje się wzmianka o książce Wodzickiego „O sokolnictwie i ptakach myśliwskich“ („Ueber die Falconnerie u. die Jagd-Vögel“ — in polnischer Sprache, 213 Seiten u. 11. Tafeln“).

Jedna z niemieckich prac Wodzickiego została przyswojona piśmiennictwu angielskiemu. Jestto mianowicie rozprawa pod tytułem: „Einige Beobachtungen über die drei schwirrenden Rohrsänger“ (j. w.: Erinnerungsschrift zum Ged. an die VII. Jahresvers. d. deut. Orn.-Ges.). Wydał ją Georg D. Rowley w zbiorze prac: „Ornithological Miscellany (3 tomy) London 1875-78., pod tytułem: **On Savi's Warbler**[2]) (tom 3-ci p. 223—227).

Jeśli mówimy o znaczeniu Wodzickiego w piśmiennictwie obcem i o jego roli w świecie naukowym, nie możemy pominąć jednej okoliczności, która w swoim czasie sprawiła mu niezmierną satysfakcję. Dopiero co wspomniany gatunek ptaka, zwany Brzęczką (Locustella luscinioides), został przez Wodzickiego po raz pierwszy spostrzeżony na naszych ziemiach (w Brzeżańskiem) i opisany wraz ze wszelkiemi szczegółami gnieżdżenia. Otóż Brehm, na pamiątkę tego odkrycia, nazwał ptaka **Locustella Wodzickii** (Chr. L. Brehm „Der vollständige Vogelfang“, Weimar 1855., na str. 234). Okazało się wprawdzie później, że Locustella Wodzickii jest młodym ptakiem znanego już przedtem gatunku: Locustella luscinioides Savi, tak, że Locustella Wodzickii jest tegoż synonimem,[3]) — niemniej jednak nazwisko Wodzickiego zostało tym faktem w nomenklaturze zoologicznej uwiecznione.

Zasługi Wodzickiego były, jak widzimy, ocenione i przez obcych. Z biegiem lat mianowano go członkiem lub korespondentem całego szeregu towarzystw naukowych zagranicznych. Toteż śmierć jego odbiła się głośnem echem w całej Europie. W czasopiśmie „*Die Schwalbe*“ *(Mittheilungen des Ornithologi-*

---

[2]) Savi's Warbler albo Savi's Grasshoper-Warbler jestto — jak dowiaduję się od prof. Janusza Domaniewskiego — angielska nazwa Brzęczki *(Locustella luscinioides* Savi).

[3]) Objaśnienie to zawdzięczam również prof. Domaniewskiemu.

schen Vereines in Wien) w roczniku 1889., p. 540., umieszczono następującą wzmiankę pośmiertną:

„Hrabia Kazimierz Wodzicki zmarł w 73. r ż. w nocy z dnia 20. na 21. października, w Olejowie, okręgu złoczowskim. Był to znakomity ornitolog, zwłaszcza zaś doskonały obserwator ojczystego świata ptaków. Jego bardzo liczne prace literackie pojawiły się przeważnie w języku polskim, wiele z nich jednak ukazało się i po niemiecku, mianowicie w czasopiśmie Naumannia w latach 1850 do 1858 i w czasopiśmie Journal für Ornithologie w latach 1853 do 1859. Ornitologja straciła w zmarłym wiernego wyznawcę i uczonego, który ją wzbogacał“.

W następnym roczniku tegoż czasopisma *„Die Schwalbe“* (1890) na str. 3. umieścił A. v. Pelzeln pod nagłówkiem „Zur Erinnerung an heimgegangene Ornithologen: Graf Casimir Wodzicki“ dłuższe o nim wspomnienie. Podniósłszy z uznaniem, jak niezwykle wiele zdziałano w Galicji dla rozwoju nauk przyrodniczych, a w szczególności na polu zoologji, zachwyca się autor n. p. wspaniałemi zbiorami muzealnemi Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, przepysznemi zbiorami Kazimierza hr. Wodzickiego (zdobiącemi Muzeum Uniwersyteckie w Krakowie), wymienia sławnych naszych uczonych, jak prof. Nowickiego z Krakowa, Dybowskiego ze Lwowa, ornitologa E. Schauera i innych, poczem omawia zasługi Wodzickiego w rozmaitych dziedzinach pracy społecznej, obywatelskiej, naukowej, opisuje jego żywot, jego pogrzeb w Olejowie, wymienia najwybitniejsze prace drukowane.

W wiele lat później, bo w r. 1911., w czasopiśmie *„Ornithologische Monatsschrift“* Nr. 4., p. 164., opublikował bardzo piękną i obszerną pracę o Wodzickim pod tytułem: „Vergessene oder wenig bekannte ornithologische Beobachtungen des verstorbenen Grafen Casimir Wodzicki“ dr. Edward Klein z Sofji.[4]) W tem wspomnieniu podaje autor krótkie zestawienie prac Wodzickiego, umieszcza też wyjątki z nich, streszczone lub wiernie tłumaczone.[5]) Dla scharakteryzowania Wodzickiego cytuje dosłownie przepiękny wstęp do pracy: „Einige Worte gewissenhafter Beobachtungen über die Fortpflanzung des Rallus aquaticus“[6]) (zob. wyżej: *Naumannia* 1853). Kończy się on ustępem następującym, który podaję w przekładzie:

„Letnia siedziba moja leży w Galicji wschodniej — a więc w kraju, którego dwudziesta część powierzchni jest moczarowatą lub wprost stoi pod wodą, gdzie staw leży obok stawu, a przez każdy z nich przepływa rzeka, dążąca do Dniestru. Trzciny, pokrywające trzecią część tych wód i nigdy nie cięte, stanowią bezpieczne schronienie dla ptactwa i osłonę lęgu. Gdy słońce wschodzi, rozbrzmiewa tam koncert ptasiej porannej modlitwy, — tak głośnej, tak pomieszanej, tak różnorodnej, że słuchając tego ornitolog podwójnem raduje się życiem. Ileż to lat potrzeba, aby te najrozmaitsze odgłosy naprawdę umieć rozpoznawać, jakże to cierpliwie trzeba śledzić i podpatrywać, aby śpiewaka nareszcie zobaczyć, a co ciekawsze, aby przekonać się, że oto mamy przed sobą wcale nie nowy gatunek, ale odmianę śpiewu, wynikłą z naśladownictwa innych współmieszkańców oczeretu i może już w gnieździe nabytą, — aby się przekonać, że różnica warunków miejscowych i pomieszczenia, że odmiana żywności, że lęg spóźniony — wszystko to wydobywa na jaw odmienne objawy, bynajmniej jednak nie trwałe. Gdy się takie doświadczenia poczyniło, mimowoli przychodzą na myśl słowa mędrca, że w przyrodzie różnorodność jest jednością“.

[4]) Dr. Edward Klein, lekarz i ornitolog, rodem ze Lwowa, zamieszkały od lat 38 w Sofji.

[5]) Wyjątki te są następujące: Sąd bociani; Zimowy sen ptaków (ustęp z „Jaskółki“); Głuszec (ustęp z „Jaskółki“); Jarząbek (ustęp z „Jastrzębia“); Orzeł rybołów (ustęp z „Orłów polskich“); Orzeł krzykliwy (ustęp z „Orłów polskich“).

[6]) Rallus aquaticus = Wodnik, chróściel wodny.



ALBERT MNISZEK

NA ZIELONYM EKRANIE.

III.

W Białych Karpatach.

Pod datą 17. stycznia 1913 mam w dzienniku myśliwskim zanotowane ubicie odyńca i wycinka w Bojkowicach na Morawach. Bojkowice z prześlicznym zamkiem Swetlawa, majątek ks. Jerzego Lubomirskiego, leżący na pograniczu Węgier, był wspaniałym rewirem myśliwskim. Knieje położone na dolinach, poprzerywane polami i łąkami, roiły się od drobnej zwierzyny, a więc od zajęcy, sarn, królików, bażantów i kuropatw, partje górskie (Białe Karpaty), wielka połać zwartych borów, głównie kultur szpilkowych, stanowiły ostoje licznych stad dzików. Nie były to jeszcze polowania „czeskie“, na których padały tysiące zwierzyny dziennie, lecz możnaby powiedzieć, że były to bardzo dobre polowania nasze, a dzik i lis często zdarzający się i w partjach kniei dolnych, dodawał tym łowom wiele powabu. W tygodniu t. j. w sześciu dniach, ubijaliśmy tam zwykle w 5 strzelb około dwa tysiące sztuk drobnej zwierzyny i zawsze kilka dzików.

Przybywszy do Bojkowic na kilka dni przed wyż wspomnianą datą dowiedzieliśmy się z przyjemnością

że do wcale pokaźnego kontyngentu dzików rodzimych w Bojkowicach, przybyła jeszcze setka ich z górą ze znajdującego się w tej okolicy zwierzyńca bar. Springera, dzięki przerwaniu ogrodzenia.

Już w pierwszym miocie zdarzyły się dość zabawne dwa epizody. Staliśmy od rzadkiego starego lasu, pod gęstą świerkową kulturą, w której wnętrze przecież na jakie kilkanaście kroków wglądnąć można było. Dzików otropionych w niej była nie dająca się wprost opisać cyfra, conajmniej 50 sztuk. Gdy nas rozstawiono, sąsiad mój na lewo (nomina sunt odiosa) poczuł nagłą potrzebę obcowania sam na sam z przyrodą. Pozostawiwszy broń na stanowisku, wszedł kilkanaście kroków w miot. W tej chwili zamajaczyło przedemną kilka sylwetek dzików. Wybrałem jedną sztukę gdzieś w luczce i strzeliłem bez żadnego zresztą, jak się pokazało, rezultatu. Na mój strzał, jakby z pod ziemi, wyrosła cała hurma dzików, przewala się przedemną i dąży ku memu sąsiadowi, który w toalecie pozostawiającej wiele do życzenia, chce się dostać do swego sztućca, lecz nie może, bo między nim a jego stanowiskiem przewalają się stada dzików przez dobrą chwilę. Gdy wreszcie dostał się do swej broni, już nie miał do czego strzelać.

Sąsiad mój na prawo stał znacznie niżej odemnie w połowie stromej zboczy, tak że przed sobą miał ścianę, za sobą parów. Druga partja dzików wali z tej ściany z góry w dół, w zawrotnej szybkości wprost na niego Pierwsze zaraz sztuki wywracają go, następne walą przez niego, tak że niknie pod tą czarną tłuszczą. Miałem wrażenie, że dziki zmiotły go z linji w parów. Po przejściu tej nawałnicy, ujrzałem go jednak gramolącego się w śniegu. Dziwnem się wydawało, że mógł wyjść z tej imprezy zupełnie bez szwanku. Faktem jest, że w tym miocie nie ubiliśmy ani jednego dzika.

W następnym, stałem na flance przy wysokim nasypem idącym gościńcu. Miot był młodą gęstą kulturą świerkową. Przed sobą miałem linję równoległą z linją stojących na froncie myśliwych. Zszedłszy z gościńca w rów, stałem zakryty, lecz nic przed sobą nie widziałem. Wróciwszy na gościniec, stałem wprawdzie jak latarnia, lecz widziałem linijkę, przez którą dziki przechodzić, zdążając na linję, musiały. Pod sobą w rowie usadowiłem chłopaka noszącego mi śrutówkę i naboje. Podczas gonu słyszę, że dzik idzie wprost do mnie, widzę ruszające się świerki. Podchodzi też podemnie i widzę ryj wystający z prawej strony siedzącego w rowie chłopaka, tak blisko, że ten, wyciągnąwszy rękę, mógł łatwo go się dotknąć. Chłopak zachował się wzorowo, ani drgnął. Wiedząc, że dzik ujrzawszy nas, cofnie się w okamgnieniu, wymiarkowałem miejsce, gdzie znajdował się jego kark i strzeliłem w świerczynę. Dobrze obliczyłem to miejsce, gdyż dzik, był to dobry wycinek, zwalił się w rów bez życia.

W niezwykłych również okolicznościach, choć zupełnie odmiennych, ubiłem w tym dniu i starego odyńca. Ostatni miot już o zmierzchu braliśmy na drobną zwierzynę. Była to znów kultura świerkowa, ale już podniosła i dobrze przejrzysta. Sztuciec powiesiłem na gałęzi, a śrutówkę trzymałem w ręku. Słyszę łomot — i w tej chwili z prawej strony wyskakuje gruby dzik i staje przedemną w miocie na dziesięć kroków. Choć przekonany, że na zamianę śrutówki na sztuciec nie będzie czasu, rzucam ją beznadziejnie w śnieg, chwytam za sztuciec... o dziwo, dzik stoi; celuję, strzelam, dzik pada w ogniu. Jakiś samobójca chyba, myślę sobie, żeby się dać tak głupio zabić.

Zagadka za chwilę się wyjaśnia. Był to stary odyniec, chudy jak szczypa, cały pokiereszowany kłami rywali i brak mu było lewego oka. Kalectwo to stało się powodem jego śmierci, gdyż nie mógł mnie widzieć, a przyczyną mego łatwego tryumfu.



WŁADYSŁAW GÜRTLER

Batory na łowach.

(Wyjątek z obszerniejszej pracy)

Styczeń r. p. 1581.

Na sennej ziemi leży śnieg głęboki, mróz siarczysty ścina krew. Król z orszakiem poluje w lasach augustowskich koło Grodna.

Puszcza u dołu drzemie, ale wierzchołki wyniosłych jodeł prowadzą u góry cichą, tajemniczą pogawędkę, strząsając niekiedy dużą śnieżną okiść, która spada z pośpiechem, rozbija się na gałęziach w mniejsze grudki i tonie w morzu białego puchu. Las na znacznej przestrzeni dość rzadki, — pozwala widzieć daleko. Krom paproci, wystających tu i ówdzie ponad śnieg, krom czerniejących gdzieniegdzie nikłych krzaków jałowca, innego podszycia prawie że niema.

Nawisły na korze lód iskrzy się kolorami tęczy, każda gwiazdka na nim zachwyca oko misternym ornamentem. Bór stary zdaje się być olbrzymią areną, na której za chwilę śmiertelne rozegrają się zapasy.

Ale nie cały las był rzadki... Bacznemu oku nie uszła ciemniejąca w oddali linja gąszczów, biegnąca nierówno między drzewami. Tworzyły ją młode, rozkrzaczone sosny i jodły z kępami leszczyny, spowite krzakami ostrężyn, malin, wreszcie traw wysokich.

Z gęstwy tej wysterczały i barczyste olbrzymy, ale pojedyńczo, jakby na pokaz lub leżały innych ogromne cielska, zwalone wichurą, sędziwością dostojne, zielskiem splątane. Gąszcze nie ciągnęły się na dużych przestrze-

niach; zdarzały się wśród nich większe halizny, a nawet przerwy, wypełnione zazwyczaj bagnami lub jeziorkami, tak charakterystycznemi dla litewskich krajobrazów leśnych.

One to tworzyły właściwe ostępy, w nich leżały odyńce stare, w barłogach pod wykrotami spały niedźwiedzie, drzemały rysie ostrowidze, błądziły niekiedy senne łosie lub wędrowały płochliwe jelenie.

Nikt nie wiedział na pewno, co się w gąszczach kryło, ale każdy myśliwy i znawca kniei oceniał na oko, że zwierzyny powinno być wiele. Liczne tropy dzików i łosi krzyżowały się na granicy gęstwiny, a chociaż przyprószył je nieco śnieg, z lekka polatujący, mógł król snadnie zauważyć głęboki odcisk łapy grubszego zwierza, na śniegu zostawiony.

O niedźwiedziach tylko nikt nic pewnego nie wiedział... Straż leśna widywała je jesienią, gdy się kręciły po lesie, ale ile ich było i gdzie mogły zalegać, tego nikt nie badał.

Narazie zamknęła się knieja na siedm pieczęci, a te właśnie jej tajemnice podniecały wyobraźnię myśliwych, budząc w ich sercach różne uczucia, w ich mózgach różne nadzieje.

Knieja, o której wiemy, że hoduje wiele niepoliczonego zwierza, emocjonuje chyba najmocniej.

Po krótkiej naradzie postanowiono przegonić ostęp, nazwany „Smolarzem“, w którym, wedle mniemania starego leśnika, miała się znajdować gawra niedźwiedzia. W „Smolarzu“ bowiem spotykali go jesienią strażnicy i widzieli, jak chodził po zrębach i wyszukiwał jagody.

Ale już rozstawiono myśliwych. Stanęli luźnym szeregiem daleko od siebie, tuż pod ścianą gąszczów. Królowi przypadło stanowisko czołowe w miejscu, w którem zagajnik na dwie rozchodził się strony i rzadszy się stawał. Obok króla stanął słynny ze swej siły koniuszy nadworny, pan Kasper Maciejowski, z krótkim oszczepem, którego grot stalowy lśnił w słońcu, jak ze złota ulany. Nieco dalej ulokowali się: p. Zygmunt Forgacz z rusznicą, panowie Krzysztoporski i Podlodowski. Sam król dzierżył w krzepkiej dłoni krótką, litewską sulicę, którą władał po mistrzowsku. Zakrywał go od strony gonu gęsty krzak tarniny.

Głos rogu rozdarł naraz ciszę lasu. To Imć Pan Krzysztoporski daje znak nagonce, że strzelcy rozstawieni, gotowi i że czas zaczynać...

Batory nie lubił długo wyczekiwać, a dobrą organizację na łowach i sprawność łowczych cenił wysoko.

Tymczasem głos rogu już goni po puszczy i dociera do każdego zakątka, budząc u jednej zwierzyny uczucie strachu, u innej płochą ciekawość. Toteż zając wciska się mocniej w kotlinę, lis pręży stawki i ucha nadstawia, sarna przerywa żucie, jeleń wstaje, strzyże łyżkami, skory zawsze do ucieczki, a dzik gwizd podnosi, zwraca uszy w stronę głosu i patrzy bystro ślepiami po bliskich krzakach. A może i „misiek“ zew myśliwski usłyszał, ale myśląc, że to senny majak, mruknął gniewnie i spał dalej.

Po pierwszym sygnale nastała dłuższa cisza... Snadź naganka nie obsadziła jeszcze dużego miotu. Już jednak nadpływa odpowiedź leśnika, — żałośna, jak śmierci fanfara, a z nią wraz rozlega się piekielny hałas z piersi kilkuset ludzi i wrzaskliwy jazgot psów licznych.

Idą ławą — człek przy człeku, gęstym łańcuchem, wygiętym w półkole, którego skrzydła, jak macki, wyciągnęły się w kierunku gonu.

Jak niewód, pogrążony w toni jeziora, sunie dnem i zgarnia ryby lub pędzi je przed sobą, broniąc im ucieczki na boki, tak szła groźna naganka przez ostęp i gnała przed sobą przerażoną zwierzynę.

Ruszyły najpierw dziki i to galopem z miejsca, bo im się zdawało, że mrowie ludzkie już je ogarnia. Odsadziwszy się na znaczną odległość, stanęły i poczęły nadsłuchiwać, zwróciwszy przemądre oczy w stronę naganiaczy. Zrozumiały wreszcie, że się je pędzi w jednym kierunku, w jakimś ukrytym celu, a że to stworzenia z natury uparte, postanowiły zostać w miejscu, spojrzeć odważnie niebezpieczeństwu w oczy i przedrzeć się przy dobrej sposobności przez pierścień obławy. Spróbowały...

Ale zaledwie ruszyły na nią, wszczął się zaraz taki hałas niesamowity i tylu ludzi przed sobą zobaczyły, że srodze przestraszone, zapomniały nawet o swej taktyce trzymania się kupy i rozbiegły się w popłochu na wszystkie strony. Pędziły więc na oślep, każdy w innym kierunku, z myślą o ratowaniu li tylko swego żywota. Może niejednemu udało się pod osłoną gęstych krzaków przeciąć linję nagonki, może ten lub inny przywarował w wysokiej, śniegiem przysypanej trawie i niedostrzeżony, przyglądnął się z bliska potworom dwunożnym, a potem ruszył w tył i ocalał.

Tęgi odyniec, jeszcze młody i dorodny, ulubieniec loszek i ich opiekun, szczęśliwy konkurent do czułych serduszek, pełen odwagi nawet wobec rodowej starszyzny, gnał jak zając przed siebie. Opuściła go odwaga. Myślał tylko o ratunku. Przypomniał sobie, że niedaleko rosną inne gąszcze że i w nich dobrze, że zbawienie tam znajdzie i że może całe towarzystwo wkrótce w pełnem zdrowiu w nowej kryjówce się zbierze. Już, już gąszcz się kończy, a za nim zbawienie...

Pełen najlepszych myśli wskakuje na polanę.

Aż tu grzmot straszny, niby piorun, uderza o jego uszy. Widzi ogień i dym... Przemknęło mu przez głowę, że to nie piorun, bo w zimie piorunów niema. Biją tylko w lecie, kiedy jego małe dzieci chadzają z matką po kniei. A jemu się zdaje, że teraz niebo swój pocisk wysłało. Po małej chwili czuje w boku ból ogromny, jakieś kłucie, jakiś ucisk. Nie może oddychać. Wypręża nogi, by biec dalej, ale odmawiają mu posłuszeństwa, plączą się, sztywnieją. Chciałby jeszcze choćby jeden krok zrobić. Na nic wszystko. Ciemnieje mu w oczach. Drzewa wokoło zaczynają tańczyć, ale tak szybko, że zlewają się w jeden kłąb wirujący. I on z niemi tańczy. Słania się wreszcie na bok i pada. Kilka drgnień jeszcze i już nie żyje.

Na śniegu purpura... krew serdeczna, płynąca z głębi rany i z nożdrzy ją maluje.

To Imć Pan Forgacz tak strzelił. Król widzi wszystko, wdzięcznie się uśmiecha i rękę ku przyjacielowi wyciąga.

I niedźwiedź się znalazł w ostępie

Rozgłośne larum, jakie naganka na widok dzików uczyniła, obudziło go ze snu i wypędziło z legowiska. Wypadł też z niego, jak burza i ruszył przed siebie zwartym kłusem. Zaspane oczy przetarł śniegiem; ruch ożywił jego skostniałe członki. Zrobiło mu się lekko i ciepło. Chciał uciec przed obławą, chciał się znaleść od niej jaknajdalej. Przypomniał sobie, że tam może w trzecim ostępie ma zeszłoroczną gawrę. A że drogę znał dobrze, więc biegł prosto, nie oglądając się za siebie. Już dosięgał kraju gąszczy, już nawet znalazł się wśród rzadkich drzew, gdy naraz jakieś dziwne dwunożne stworzenie stanęło na jego szlaku i uderzyło go w bok... kijem. Uczuł drażniący ból w żebrach.

Któż to śmie zastępować mu drogę, jemu, mocarzowi puszczy i jej gospodarzowi? Za śmiałość srogo odpokutuje... Wszak jeszcze nikt bezkarnie go nie napastował. Staje więc na tylnych łapach, ogromny i straszny i idzie na wroga; już go dosięga łapą i zwala na ziemię. Zmiażdży go w uścisku, rozszarpie kłami...

Wróg jednak się wymyka, więc przytrzymuje go pazurami. Tymczasem nowy napastnik wyrasta tuż przed nim. Niedźwiedź patrzy i spotyka się ze strasznym wzrokiem. Ach, te oczy... wolałby ich nie widzieć!... Ale miś się nie cofa. Zapomina już o tchórzu, co mu placu nie dotrzymał, rzuca go, prostuje się, aby mocniej stanąć i uderza na człowieka, odwiecznym walki instynktem wiedziony. Ten jednak pochyla górną część ciała, podnosi szybko jedno ramię i ciska z całej siły coś ciężkiego, coś ostrego — w otwartą pierś misia. Cios był mistrzowski. Zwierz zatrzymuje się na chwilę, chwyta oboma łapami zabójczy oszczep, chce go wyrwać z piersi, ale nie może, bo mu sił braknie, bo go rana ogniem pali. Lepka, czerwona ciecz zalewa mu gardziel i dusi. Ciemnieje mu w oczach, więc usiada na zadzie, wreszcie się przewraca. Jeszcze kilka drgnień, jeszcze kilka skurczów straszliwej paszczy, jeszcze kilka kropel krwi, a z niemi uchodzi reszta życia...

Nad misiem stoi król. W wyciągniętej prawicy trzyma drugi dziryt, gotowy do ciosu, gdyby pierwszy zawiódł.

Ale nie obawiaj się, wielki łowco! Cios Twoją ręką zadany, jest zawsze śmiertelny... nietylko dla niedźwiedzia... C. d. n.

ADAM HR. RZEWUSKI.

Z WRAŻEŃ WOŁYŃSKICH.

Upały dni sierpniowych spędziłem na skrawku Dzikich Pól praojców, które obecnie mają szczęście należeć do Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, podczas gdy reszta została od nas tak brutalnie wydartą. Głębokie, ciche jary, bezgraniczne horyzonty kresowe leżą przed nami, jak ongiś, zawsze zapachem „chlebowem“ tchnące, przepojone tem specyficznem powietrzem limanów Dnieprowych, rozśpiewane poświstem skrzydeł bohaterskiej husarji z pod Beresteczka i Zbaraża.

A tam w zakątkach stepowych chutory i pasieki na dnie rozłogów drzemią pieściwie otulone sadkami wiśniowemi, z których to w maju rozmodlony śpiew słowika niejedną czarnobrewą Halę lub Horpynkę rozmarza podczas srebrzystych księżycowych nocy — wiosny-czarodziejki.

Krynice i źródła z pod granitów i piasków gór kryształowych wód przejrzystych i zimnych krople po kropli obficie sączą, podczas gdy stateczny[1]) „diad'ko“ słodkiego wywczasu na murawie swego sadka pod gruszą używa a dziarsko zuchowaty „parubok“[2]) ukradkiem na schadzkę miłosną ku lubej dziewczynie podąża. Wszystko tak jak było i nawet się ku starości mało co pochyliło. Mimowoli przychodzą na myśl opisy tych zakątków, krainy mlekiem i miodem płynącej, zawarte w liryźmie Tarasa Szewczeki, Marka Wowczka i całej plejady bardów ukraińskich, do bezimiennych, ślepych, jarmarcznych lirników włącznie. A lud ten dziki, tyle ku nam nieufny, który tyle już krzywd krwawych nam wyrządził, jeszcze w mrokach czasów Chmiela i Krzywonosów przeróżnych, zakończony epilogiem horendalnego bestjalstwa „bezkrwawej“ rosyjskiej rewolucji, łak zwanej „swobody“ (piękna swoboda, niema co mówić), a jednakże pomimo wszystko tak ściśle związany z zaraniem życia nas kresowców, że wszystko mu się mimowoli przebacza i znowu z pewnym sentymentem wchodzi się w kontakt z Wasylami i falangami Maksymów przygodnych.

Cóż robić? — fatalizm atawizmu pokoleń całych w przeżyciach ich i własnych dni młodości złotej zawartych. Lud ten dzisiejszy, nie zważajac na szaloną, wrogą nam propagandę ze strony serdecznych naszych

[1]) Po miejscowemu: solidny chłop.

[2]) Młody chłopiec.

sąsiadów i przyjaciół, pomimo wszystko coraz więcej przenika się należnym respektem ku naszej młodej państwowości. Ogromnie się ku temu przyczynia pobyt w szeregach naszego wojska młodszej generacji — kulturalne oddziaływanie tego czynnika przebija na każdym kroku.

„Buła pane carskaja włast', buły Nimci, buły hajdamaki i bołszewiki — wse projszło — dumały szczo i Poliaki projdut' — ałe ni — nykoły w switi, ma but' Wasza włast', ostanetsia wże, bo poriadku wse bilsze, szkoły, szosy budujete. Ot, jak synok ze służby z Poznania od ułaniw wernułsia, to takij rozumnyj, tak dobre pańskoj mowoj bałakaje, takij „fajn“ chłopiec, choć kudy. I wsi na seli jeho ne inacze, jak panom wełyczajut'. Daj tylko Boże wam poriadku jak najblisze zawerty i wse bude dobre“[3]). — Charakterystyczne zdania przeciętnego chłopa tutejszego, dobrze uświadomionego, co się tam, poza trzydziesto-kilometrowym pasem przedgranicznym, w sowieckim raju dzieje. Dusza i serce polskie od podobnych słów rosną — precz z sarkaniem pesymistów i zrzędów. A gdy do tych błogich nastrojów, pasja łowiecka może znaleźć swe zadośćuczynienie na tak wspaniałych terenach, jakiemi niezawodnie są stawy na Horyniu (Borsukowiecki 700 ha, Peredmirecki 350 ha) wraz z dodatkiem błot przyległych, stanowiących własność mojej najukochańszej bratowej hr. Niny Rzewuskiej i jej córki, na których to do syta delektować się można, jak niegdyś przed laty, w pełni całej z rozkoszy polowań na na gęsi, kaczki, kulony — cóż wtedy brakować może do szczęścia zapalonemu adeptowi św. Huberta. Nic, oczywiście.

Dopełnieniem może być tylko potrzeba wyrazu uczucia głębokiej wdzięczności dla kasztelanek owych łowisk, których teren tak hojnie przedemną został otwarty. Co też z zachwytem czynię. Staroświeckie przysłowie powiada: „I nie zawsze wiosna bywa i nie zawsze słowik śpiewa“, lecz co się tyczy „dominium“ naszego Wielkiego Patrona — to fałsz wierutny! Minęła dawno wiosna roku, tembardziej życia, lecz intensywność miłości ku matce-pocieszycielce — naturze, ciąg dziedziczny do uciech łowieckich, w duszy myśliwskiej zawsze był i jest jednaki. Znicz ten gorzeje w mrokach czasu dalekiego, nie słabnąc — a może nawet jeszcze jaskrawiej obecnie, niż w latach młodocianych — przeszłości złotej. Św. Hubertowi cześć!

* * *

Stawy borsukowieckie, na których już z mej ręki padło tyle barwnych kaczorów krzyżowych, tyle różnorodnych kaczek przelotnych, bądźto w prażących słońcach lata, bądź w szarugach smutnej jesieni, kiedy to pojawiają się na tych wodach gęsi, bernikle, ba — łabędzie nawet, w roku bieżącym przedstawiają widok niesamowity Dzięki posusze, która panowała niemal na Polesiu całem, ogromne ilości krzyżówek przeniosły się na stawy Wołyńskie. Obliczam, że tego gatunku kaczek było tam w okresie sierpniowym nie mniej od 10—15 tysięcy sztuk. Łatwem to było do obliczenia, podczas mianowicie wylotu ich na żer wieczorny na pola prosem i hreczką obsiene, Stada podrywały się z gładkiej tafli wód po parę tysięcy osobników naraz, oprócz rojów pojedyńczych z trzcin i sitowia. Zawdzięczając też tej okoliczności, była w gościnie moc kuligów wielkich (numenius arquatus), trzymały się kompanjami do sta i więcej. Na skutek tego, że Borsukowiecki staw[1]) już od lat kilku nie był spuszczanym, uformował się cały cykl na środku siedmiuset hektarowej przestrzeni wysp z tak zwanej „raski“ pokrzyw wodnych i przeróżnych wodorośli. Przejazd nawet płaskodenką łódką, specjalną do polowania, był arcytrudnym po owej „laguna morte“. Na tych to wyspach wspaniałe ptaki, wielce ostrożne i bardzo rzadko pod strzał trafiające, obrały sobie na siedzibę nocną, do której, jako do eldorada obfitującego w smakowite ślimaczki, robaki, pijawki i inne delicje, co wieczór tłumnie, ciągnęły z dalekich błot i pól, aż zapewne z pod Zwiahla i Żytomierza bolszewickiego.

Zauważywszy te ich peregrynacje i zorjentowawszy się w sytuacji — ja z moim dzielnym Nikonem, rybakiem miejscowym i mistrzem w zawiłym kunszcie kierowania łódką w podobnych labiryntach, w pamiętny wieczór 31 sierpnia byliśmy już misternie ukryci w oczeretach na jednym z tych szlaków, na posterunku myśliwskim. Oto już od kilku mych strzałów padło kilka cyranek i podgorzałek, raptem melodyjne, fletowe dźwięki kuligów wielkich — ciągnie stado jedno, drugie, lecz niestety albo zbaczają, albo w aeroplanowych lecą wysokościach. W tem cztery sztuki ukazują się na jakie 100—120 metrów nad głową. Ryzykuję, rzucam strzał problematyczny. O radości! Nigdy nie zapomnę na tle gasnących szkarłatów w pastelowo-fjoletowych tłach zamarcia dnia, ten cudny, tak opisany przy spadnięciu rzadkim okazem, jego hieratycznie profilującą się szyją z dziobem, rzeczywiście „arquatus“, nadającym niejakie prawa na kuzynostwo z ibisami Faraonów tajemniczego Egiptu.

Widok wspaniały, fragment łowiecki niezapomniany dla duszy myśliwskiej.

„Oj pane, „fain“ sztuka — wykrzykuje z namaszczeniem podnoszący go Nikon — nykoły takoho ne ba-

---

[3]) Widzieliśmy Panie i carską władzę, byli Niemcy, byli hajdamacy i bolszewicy — minęło wszystko. Myśleliśmy, że i Polacy przeminą — ale nie, nigdy w świecie. Widać, że wasza Władza pozostanie, bo porządu coraz więcej. szkoly, szosy budujecie. Ot jak synek mój ze służby, z Poznania od ułanów powrócił, to takim rozumnym, tak dobrze „pańską mową“ rozmawiającym, taki „fajn“ chłopak, choć do rany. I na wsi wszyscy go nie inaczej, jak per „pan“ tytułują. Daj wam Boże zaprowadzić jak największy porządek i wszystko będzie dobrze.

[1]) Nastąpić to ma według planu rybolostwa tak umiejętnie i fachowo prowadzonego przez wybitnego ichtjologa, najsympatyczniejszego dzierżawcy tych obszarów, pana Dużewicza„ latem przyszłego roku.

czył z błyżka“. Podobny strzał epokę stanowić może. Lecz nie koniec na tem. Nazajutrz rano z nadciągającego stada (około 80—100 sztuk) też na odległość może nawet większą, wytrącam drugi takiż sam okaz. Markotną nieco była myśl, że wypchana przez Zastowskiego moja ofiara, jako skromny hołd wdzięczności ozdabiać będzie oczywiście „hall“ gościnnego dworu w Borsukach, tymczasem los nie zapomniał też o skromnych ścianach mego warszawskiego „asilium“, będzie też i u mnie najprawdziwszy „numenius“ gwoli rozkoszy wspomnień.

Jeśli do tego dodać 42[5]) padłych z mej ręki kaczek rozmaitych odmian na 62 strzały, dane w przeciągu tych tak krótkich kilku dni, zrozumieć łatwo wielkie me ukontentowanie łowieckie, to też jest ono nie małe, lecz myśliwi są nienasyceni. Już teraz doczekać się nie mogę błogich chwil powrotu swego w październiku na brzegi Ikwy i Horynia dla nowych pogoni, nie za snem złotym marzenia niedościgłego w kobiecej postaci, lecz za gęśmi, kaczorami, kto wie — łabędziami może?

„O to panoczku „fajn“, taka huska“ — podkreślił historyczną chwilę poczciwy Nikon. Co daj Panie Boże i św. Hubercie jak najprędzej, dzięki składając za „już“ a prosząc o „jeszcze“.

[5]) Oprócz tego dziesiątka przepiórek i para kuroparw.



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio-środkowa Afryka)

W czasie mego dziesięcioletniego pobytu nad Zambezą polowałem dużo — i to na rozmaitszą zwierzynę. Najczęściej jednak polowałem na antylopy, jako że z przeżuwaczami temi, w Afryce najliczniej reprezentowanemi, na każdym z tutejszych terenów spotkać się mogłem. Niemasz tu chyba zakątka, gdzieby ich nie było, czyto na nizinach, czyto w górach, czy na moczarach lub w jałowej dżungli, wśród lasów i na stepie.

W dorzeczu dolnej Zambezy i Sziry aż po brzegi jeziora Niassa — reprezentowane one są przez czternaście zasadniczych gatunków wzgl. typów (prócz licznych odmian), jakkolwiek nie ośmieliłbym się twierdzić stanowczo, że lista ich — tą liczbą została już zamknięta. Są to obszary tak znaczne, a tak mało zaludnione, a co więcej, tak mało po dziś dzień zbadane, że nowych odkryć w tym kierunku można się jeszcze zawsze spodziewać.

Z powyższej liczby gatunków — nie wszystkich udało mi się dostać w swoje ręce, chociaż rzetelnie nad tem pracowałem. W każdym razie ubiłem przedstawicieli gatunków dziesięciu, a między temi — i największą antylopę afrykańską t. j. tamtejszego łosia, i najmniejszą — antylopę-karzelka.

Jeżeli zaznaczyłem, żem polował dużo, z tego nie wynika, abym dużo antylop upolował. Wiele też szkody w tamtejszym zwierzostanie nie wyrządziłem. Pozbierawszy w myśli wszystkie w tym czasie przezemnie ubite sztuki, — nie doliczyłbym się ich więcej, jak stopięćdziesiąt. *) To mało jak na okres dziesięciu lat. Ale też przyznać się muszę, że zwierzyny dla rekordu nigdy nie strzelałem, a w latach późniejszych, gdy już nabrałem wprawy w strzelaniu — nie dawałem nigdy strzału do zwierza (chyba w koniecznej obronie), jeśli nie byłem pewny jego skuteczności.

Kodeks myśliwski, wprawdzie nie pisany, — który dotarł tu z południowej Afryki i chętnie był uznawany przez każdego prawdziwego myśliwego — stał się dla mnie również obowiązującym. Zasada, że każda trzecia kula winna przynieść zdobycz myśliwską, stała się dla mnie wytyczną w użyciu broni do zwierzyny łownej. Krępowała ona myśliwego od trwonienia nabojów (w Afryce środkowej zresztą bardzo kosztownych), a tem samem zmuszała do szanowania zwierzyny. Była w końcu pobudką do pilnego poszukiwania postrzałków, pracy w tym klimacie bardzo żmudnej i wymagającej dużego doświadczenia, z czem niestety przygodni strzelcy—w obliczu wielkiej ilości zwierza — nie zawsze chcieli się liczyć. A najmniej liczyli się z antylopą, której twardego życia, zwłaszcza u gatunków wielkich, rzadko kiedy pojedyńcza kula przecina.

(*Notatki odnośne zaginęły w czasie wojny światowej.

Kto chce polować w kraju nieznanym, a pragnie mieć jakie takie powodzenie, musi go wpierw poznać. Musi poznać jego przyrodę, oraz teren, na którym mu polować wypadnie. Brak tych wiadomości sprawiał i sprawia, że i niepośledni myśliwi, którzy wybrali się na chybił-trafił do obcych, a zwłaszcza egzotycznych krajów na łowy, spotykali się ze srogim zawodem. Zamiast z tryumfem, wracali nieraz ośmieszeni. Ale z drugiej strony i to żaden tryumf, gdy ktoś dostawszy się przypadkowo na tereny, pełne zwierza rozmaitego i wystrzelawszy w ciągu dnia kilkadziesiąt nabojów, a naraniwszy całe dziesiątki zwierząt, zdobywał w końcu jedną lub dwie głowy. To nie może przysporzyć strzelającemu ani chwały, ani zadowolenia. Zadowolenie zdobywa się w łowiectwie tylko przy zachowaniu etyki myśliwskiej.

. . . .

Gdy się już ochłonie z pierwszych emocyj myśliwskich na terenie afrykańskim, gdy się już ubiło więcej antylop rozmaitych gatunków, a nic nowego pod lufę się nie trafia, polowanie na tę zwierzynę przestaje nęcić. Staje się w końcu nawet nudnem, zwłaszcza na terenach, gdzie pewne gatunki spotykasz setkami. W pierwszym rzędzie tutejsze stepy witają cię takim widokiem w porze zimowej (t. j. suchej), kiedy wszystkie przeżuwacze — a więc i antylopy — w poszukiwaniu świeżych pastwisk i poideł, przeciągają przed oczyma widza z Europy, niby olbrzymie stada bydła w pstrej mięszaninie. Ogłupiałe pod wpływem głodu i pragnienia dają się początkowo podejść dość blisko, a polowanie w takich warunkach ogranicza się po prostu do bezmyślnej strzelaniny.

Dopiero tam, gdzie antylopa jest rzadką, gdzie teren jest trudny a zwierz czujniejszy, gdzie wypatrzenie jej na oko jest tylko przypadkowe, wtedy polowanie na nie stając się tem, czem być powinno t. j. sztuką myśliwską, może dać myśliwemu prawdziwe zadowolenie.

Wtedy i najmniejsza antylopa staje się godną zachodu, bo tropić ją trzeba i podchodzić, a to wymaga dużej wytrwałości i doświadczenia, które we większej części wypadków nie stają w żadnym stosunku do zdobytego trofeum.

Oczywiście nie każdego Europejczyka, któremu los pozwolił polować w tych krajach, stać na takie poświęcenie, zwłaszcza nowicjuszów i tych, którzy muszą liczyć się z czasem i mających ilość ubitej zwierzyny przedewszystkiem na oku. Goniąc jednak za rekordem ilości — pozbawiają się tego, co jest, lub być powinno kardynalnem dla myśliwego t. j. obserwacji i poznania zwierzyny — a jednocześnie poznania tak odmiennej a bogatej w swych objawach, przyrody krajów egzotycznych.

Stąd też wypływa, że tak mało mamy wiadomości z życia zwierząt podzwrotnikowych, a szczególnie tamtejszej zwierzyny łownej.

I.

Antylopa „Mbawala“ *) a lampart

Jedną z antylop, godną zachodu, nawet dość pospolitą, to tak zwana przez Kafrów „Mbawala“. Polskiej nazwy dla niej — zdaje się — jeszcze nie znaleziono. Anglicy nazwali ją „Bush-buck“, a przyjęli tę nazwę od Burów, którzy jako najdawniejsi europejscy osadnicy w połud. Afryce, a przytem znakomici myśliwi, miejscowej zwierzynie swoje dawali określenia.

Małe to jest stworzonko, bo nie większa od naszej kozy domowej; tylko zgrabniejsza i bardziej filigranowa. Budowa jej jest o tyle uderzająca, że tył ma trochę podniesiony z powodu silnie rozwiniętych pośladków. Skutkiem tego nosi swą główkę, zresztą bardzo kształtną, nieco opuszczoną, na wygiętej jak u wielbłąda, ale również kształtnej szyjce. Szata tej antylopy jest koloru rdzawo-czerwonego, zwłaszcza u samic i młodych. Dorosły koziołek jest zwykle ciemniej ubarwiony, a bardzo stare osobniki — ciemno-brunatne.

Od tła takiego odbija tembardziej czysto biała, wewnętrzna strona odnóży, i dlugi, biały krawat pod szyją. Poprzez krzyże, poznaczona jest — w pewnych odstępach — białemi linjami, sięgającemi do połowy boków, gdzie przecina je druga linja, z białych plam zlożona, a sięgająca aż do tylnich pośladków.

Badyle stosunkowo krótkie, bardzo cienkie, ale i obute w małe, zgrabne i zwarte raciczki.

Tylko koziołek nosi różki. Są one stosunkowo do głowy i całej postaci dość długie, a przedewszystkiem mocne, coby świadczyło, że może się niemi bronić. Są lekko ku przodowi wygięte, a wzdłuż wygięcia zaznaczone nieznacznym, spiralnym kantem.

Można ją znaleść w tej części Afryki na wszystkich terenach, z wyjątkiem otwartych stepów lub okolic wybitnie moczarowatych. Ślady jej pobytu odnajdzie nawet mało doświadczony myśliwy w każdym zakątku kraju, tembardziej, że nie unika osiedli ludzkich, a jej charakterystyczne tropy, których nie trudno odróżnić od tropów innych antylop, znajdzie często tuż pode wsią na uprawnych ogrodach, tamtejszych mieszkańców.

Z tego jednak nie wypływa, aby było łatwo dostać ją na strzał, bo jakkolwiek jest pospolitą t. j. rozsianą

*) *Tragelaphus scriptus.*

po całym kraju, to co do liczby nie rzuca się polującemu tu tak w oczy jak inne gatunki, żyjąc tylko w parach, bardzo zaś rzadko we większych skupieniach, nieprzekraczających trzy lub cztery osobniki. Pozatem trzyma się zawsze gąszczów, gdzie większą część dnia przepędza, wychodząc tylko na żerowisko przy zachowaniu największej ostrożności. Gąszczak taki — to nie las wysokopienny, o zwartych u góry koronach, ciemny i wilgotny, ciągnący się milami, ale pierwsze lepsze zagajenie, jakie się tu spotyka wśród dolin i po jarach górskich, obejmujący grupę drzew wyniosłych, z rzadka rozsiadłych, ale w obramowaniu krzewów kolczastych, akacji pnącej, euforbji i innych wiotkich, ale zato zjadliwych kaktusów. Aby się tak wyrazić — to bukiet, opleciony lijanami, dzikim chmielem i powojami, wśród których nie brak piekielnie palącego „Mukunu", *) to bukiet, którego zewnętrzną szatę stanowi zieleń gęstego listowia, poprzez które światło słoneczne zaledwie słabemi promieniami do wnętrza się przedziera.

A wnętrze?

*) Roślina pnąca, której owoce, w kształcie strączków są pokryte włoskami piekącemi. W porze suchej rozsypują się te włoski za najlżejszem poruszeniem krzaczka; dostawszy się na skórę ludzką, sprawiają — wprawdzie krótkotrwałe — ale szalone pieczenie.

Ono — to jakby kłąb gałęzi i gałązek ze sobą splątanych, to siatka mnogich oczu i oczek, a wszystko szare, słabo naświetlone, niepewne. Spód — niezarośnięty trawami, z nędzną podściółką zeschłych liści, opadniętych gałązek, kolców i próchna.

Patrząc z zewnątrz, odnosi się wrażenie, że tam chyba żadna antylopa stale zamieszkiwać nie może, z prostej jakoby przyczyny — z braku swobody ruchów.

Tymczasem jest inaczej.

Te właśnie mroczne zagajniki, niegościnne z powodu swej niedostępności i właściwości kłujących, to najidealniejsze schronisko „Mbawali", to jej stałe miejsce zamieszkania, od którego otrzymała nazwę „Bush-buck", t. j. mieszkanka zarośli.

C. d. n.



Pierwszy łoś ubity w wolnej Polsce

Przyjechałem do Mańkiewicz, zaproszony przez mego szwagra, Karola Radziwiłła, Ordynata Dawidgródeckiego, by zapolować na sławne w całej Polsce poleskie sady kaczek. Kaczek w tym roku z powodu posuchy i małej wody, jest mniej znacznie, niż w innych latach, ale zabawiliśmy się po królewsku; powróciliśmy po trzech dniach do domu, ubiwszy w 4 strzelby przeszło 1.000 sztuk.

W domu już czekają raporty, że ruja łosi rozpoczęta, że łosie już wabią się dobrze. W Ordynacji Dawidgródeckiej przed wojną łosi było bardzo dużo, ale podczas przewrotu i najazdu bolszewickiego, zostały prawie zupełnie przez chłopów miejscowych i czerwoną armję wybite, tak, że zaledwo 3 lub 4 sztuki ocalały, z których to, dzięki nadzwyczajnej opiece, jaką mój szwagier otacza tego tak rzadkiego zwierza, rozmnożyło się dość dużo. bo liczą z łoszakami około 40 sztuk Ponieważ stosunek byków do klęp jest za duży, książę Karol postanowił odbić jednego lub najwyżej dwa byki.

Wielkie było moje zdziwienie i jeszcze większa radość, gdy kochany mój szwagier zaproponował mi wzięcie udziału w tych królewskich łowach.

Wyjechaliśmy po wieczornym obiedzie koło 9-tej, aby trafić na 2-gą rano do gajówki „Hołowy", gdzie się znajduje środek ostępów, które sobie łosie po wojnie obrały. Noc śliczna, gwieździsta, ciepła. Siadamy z pewną emocją do powozu, konny z kagańcem na przodzie i tak jedziemy 2 godziny, aż do wsi Hotomla. Tam opuszczamy naszą bryczkę, by się przesiąść na pojazdy miejscowe, bo oczekuje nas droga, którą może tylko przebyć koń poleski.

Godzina takiej jazdy, po błotach i kłodach. Podziwiam tego konia, który miejscami po brzuch się zapada, lecz zawsze dzielnie swe zadanie wypełnia. Około północy dojeżdżamy do rzeki, gdzie już wygodnie siadamy do łódki motorowej, którą płyniemy przez czarny las, łozy i oczerety, aż do naszej kwatery. Cała ta droga, oświetlona naszą latarnią, nabiera coraz to bardziej fantastycznego wyglądu, od tajemniczych cieni, wśród rozlegającego się krzyku puhacza, lub trzasku spłoszonych dzików. O g. 2-ej w nocy dobijamy do brzegu; kilkunastu gajowych składa raporty o wieczornych podsłuchach.

Po krótkiej naradzie, prędka herbata i idziemy każdy do swojego ostępu. Pogoda śliczna, lecz niestety, wiatr silny, tak, że wab trudno usłyszeć. Wszędzie widać świeże tropy: tu przeszła klępa sama, tam z łoszakiem, tu znów trop byka olbrzyma. Konstatuję wszędzie świetnie obmyślone podchody, umiejętnie pokładzione kładki; znać, że prawdziwy myśliwy, znający swe knieje, wszystko uplanował.

Książę Ordynat sam wszystkie ostępy zawczasu z trudem obchodził. Strażnicy pokazują mi szałasy, w których nocował, bo drogę miał daleką. Tak przeszło nam pięć dni i nie doszliśmy do strzału; słyszeliśmy dalekie chrapanie, trzask nawet i wab łosia, gajowi rów-



Pierwszy łoś ubity na wab po 12-tu latach ochrony, dn. 5. września 1927 r. przez H. ks. Radziwiłła. Z lewej strony ks. ordynat Karol, z prawej ks. Hieronim Radziwiłł.

nież raportują, że i oni słyszeli, niekiedy i widzieli; teraz łosie są przy klępach i na wab iść nie chcą. Raz już jestem blisko w środku między dwoma rójkami; słyszę na jakie 100 kroków ich wab, łamanie gałęzi, lecz podchodzić w gąszczu nie mogę. Stoję jak wryty, w nadziei, że przecież się który na czystem miejscu pokaże. Tak się też stało: wynurza się cielsko ogromne, czarnę; to łosza! Przechodzi i znika, a za nią coś jeszcze większego, fantastycznego, to byk; wabi i chrapie, łamie z hukiem, lecz zasłania go mgła poranna, tak, że nie mogę rozpoznać łopat i nie wiem, ile mają pasemek.

Na strzał się nie decyduję, bo nie chciałbym powalić słabszego zwierza. Czas odjazdu już się zbliża. W przedostatnim dniu wabiarz mój (stary, brodaty, ma lat 75, pamięta świetse czasy i zliczyć nie może, ile łosi już przy nim ubito), zaczyna wabić. Łoś odpowiada, idzie, zbliża się, już trzask niedaleki, lecz stary nie słyszy; widocznie wab pomylił, łoś w trwogę uderzył i odszedł Nadzieja już słabnie. Jeszcze tylko jeden ranek. Wieczorne raporty bardzo korzystne. Gajowi słyszeli dwa dobrze się odzywające łosie. Otucha wstępuje do serca, może się jeszcze uda! Mój szwagier taki gościnny, że mnie tam posyła z najlepszym wabiarzem, Pawłem Ostapczukiem. Wyjeżdżamy łodzią, noc ciemna. cicha, mroźna; to dobrze! Daleko będzie słychać. W godzinę byliśmy w ostępie.

Mam ich dwa do opolowania. Czekamy świtu, by wab rozpocząć. Dnieje. Ostapczuk ostrożnie wabić zaczyna; tu chrapnął, tam powabił, lecz nic nie odpowiada. Łosie musiały przejść w nocy do drugiego ostępu; tam więc trzeba się przenieść. Przechodzimy przez gołe błoto. Lecz cóż to na tamtej stronie? Widać ciemną plamę. Podnoszę szkła do oczów, w tej chwili plama znika. To łoś! A może łosza? Ostrożnie idziemy dalej i znów wysuwa się z łozy duża sztuka. To byk! O, to d o b r y b y k! Co robić? Gdzie stanąć? Czy za daleko?

Prędka decyzja; wybieram pozycję na kraju lasu, graniczącą z błotem. Łoś na chwilę znika. Wabiarz chrapnął i widzę, jak się znów czarna postać wysuwa i olbrzymieje! Oto łoś stanął na wyższym brzegu kanału, przez co wyglądał jeszcze większy, jeszcze potworniejszy. Patrzy w naszą stronę i szuka rywala. Widzę łopaty z dużymi końcami na tle nieba i puszczam kulę.

O radości! Olbrzym na miejscu się wali, jeszcze raz wstaje i pada powtórnie. Nie potrafię opisać, jaka radość ogarnęła mnie i moich ludzi. Strzał był daleki, 250—300 kroków. Biegniemy na miejsce. Co za piękny widok! Leży kolos i już się nie rusza. Na odgłos strzału, cały obóz ruszył z ks. Karolem na czele, przyśpieszają kroku, chcą jaknajprędzej zobaczyć. Podchodzą, oglądają, winszują. Wzruszony padam w objęcia mego szwagra. A teraz piętnastu gajowych zakłada powrozy i wyciąga z powagą króla tej puszczy.

Tak został ubity, o ile nam wiadomo, pierwszy łoś w Wolnej Polsce, w Ordynacji Dawidgródeckiej, w ostępie „Terebien", leśnictwa Wielemickiego.

Hieronim Radziwiłł.

Mańkiewicze 5. IX. 1927 r.

Z KARPAT

Tegoroczne łowy na rykowisku w górach naszych nie dały obfitych wyników. Jelenie porykiwały już od połowy września, lecz w właściwym czasie swych godów t. j. z końcem tegoż miesiąca, umilkły prawie że zupełnie. Powodem tego były wpływy atmosferyczne. Z początku wiały silne wiatry, później nastały prawdziwie letnie upały. Mało który z myśliwych ubił jelenia na ryku, a kilku z nich zdobyło wieńce króla gór dzięki przypadkowemu spotkaniu. Kilka jednak dobrych wieńców zdobyto tej jesieni. Prym w nich trzymają kapitalny 9-kilowy 14-tak z Polanicy hr. Jerzego Potockiego i 18-tak z Delatyna br. Jana Goetz-Okocimskiego. Pięknego jelenia ubiła też pani Pawłowa Garapichowa w Majdanie u br. Liebiga. W Skolem padło 5 byków, wśród których jeden kapitalny ubity przez br. R. Groedla. Zdzisław hr. Tarnowski ubił niedźwiedzia w Mizuniu.

Notatki bibljograficzne.

Dr. Edward Klein. Pochodzi ze znanej lwowskiej rodziny. Dziad jego, Jan, był właścicielem Pohulanki. We Lwowie mieszka obecnie i posiada kancelarję adwokacką, brat Edwarda, dr. Józef Klein. Edward zajmowasię już od gimnazjalnych czasów zoologją, a zwłaszcza ornitologją. Po ukończeniu nauk lekarskich we Wiedniu, w r. 1889, wyjechał do Bułgarji i osiadł w Sofji, gdzie praktykuje jako bardzo ceniony lekarz. Mimo rozlicznych zajęć zawodowych nietylko nie rozstał się nigdy z naukami przyrodniczemi, ale przeciwnie osiągnął na tem polu tak poważne rezultaty, że dziś jest powszechnie w nauce znanym ornitologiem. Przyczyniło się do tego po za ogłoszeniem całego szeregu prac z tego zakresu, wydanie przez Kleina rozpowszechnionej w Bułgarji książki o awifaunie tego kraju pod tytułem **„Ornis Bulgarica“** w języku bułgarskim (Sofja 1902) z licznemi rycinami. Obecnie przygotowuje autor drugie jej wydanie. Pozatem wsławił się opisem ptaka, który od roku 1925. nosi jego imię. Jestto Alectoris graeca Kleni Hartert, żyjący we wschodniej Bułgarji gatunek Kurodziobów (wschodnio-bułgarska odmiana t. zw. kuropatwy skalnej). Klein zawsze z wielką adoracją odnosił się do Wodzickiego. Napisał też o nim bardzo pięknie i pouczające wspomnienie w czasopiśmie „*Ornithologische Monatsschrift*“ 1911. N. 4., p. 164.*). Dodać wypada, że Klein pozostaje w bliskich stosunkach z królem bułgarskim, Ferdynandem, również zamiłowanym przyrodnikiem. Przed wojną był Klein członkiem naszego Towarzystwa.

Józef Władysław Kobylański. W obronie użytecznej zwierzyny łownej. Nakładem autora, Przemyśl, 1927. in 8⁰, str. 72. Tekst ozdobiony winietkami. Z przedmową Juljana Ejsmonda. Spis rozdziałów: 1. Łowiectwo jako bogactwo narodowe. 2. Zwierzęta drapieżne wrogami użytecznej zwierzyny łownej. 3. Plagi żywiołowe i choroby, wrogami uż. zw. łow. 4. Kłusownik — największy wróg uż. zw. łow. 5. Człowiek — przedstawiciel kultury — wrogiem uż. zw. łow. 6. Kłusownik — mordercą ludzi. 7. Straż łowiecka. 8. Ustawy. Policja państwowa. Starostwa. Sądy. 9. Ważniejsze przypomnienia dla myśliwego-hodowcy. — Rozdziały: 4., 5. i 6. składały się na znaną już Czytelnikom broszurkę tegoż autora, opublikowaną dawniej, pod tytułem „Kłusownik“ (Zob. „*Notatki bibljograficzne*“ w zeszycie czerwcowym „*Łowca*“ str. 120). Myśl przewodnia rozwinięta jest w obecnem dziełku wszechstronnie. Z obowiązku sprawozdawcy należy zaznaczyć, że jednak rozdział, traktujący o chorobach zwierząt, zawiera szereg nieścisłości, nieuniknionych u każdego autora, który sam nie będąc patologiem, stara się własnemi słowami przedstawić pojęcia, wymagające fachowego przygotowania. Błąd ten spotyka się powszechnie. Uniknął go jedynie ks. Niedbał, słusznie omijając rozdział o chorobach psa w swym, świeżo wydanym podręczniku.**) Ale dziełko Kobylańskiego, jako całość, nie traci zresztą na tem swej niezaprzeczonej wartości. Ma ono, jak słusznie podnosi Ejsmond w przedmowie, znaczenie kulturalno-propagandowe. Powinno więc być nabywane nietylko przez myśliwych, ale kolportowane przez nich wśród tych wszystkich osób, które o łowiectwie i jego właściwem znaczeniu dla krajowego gospodarstwa mają dotąd pojęcia bardzo mętne, albo zgoła fałszywe. Rozpowszechnieniu książki p. Kobylańskiego sprzyjają przy tem dwa następujące względy: 1-o jest pisana zajmująco i posiada formę bardzo sympatyczną, 2-o cena jej, jak na dzisiejsze czasy, jest śmiesznie niską, bo wynosi tylko 2 złote. Usiłowania autora, który wydał ją własnym nakładem, należy ze wszech miar poprzeć. *W. Z.*

*) Bliższe szczegóły zob.: Ziembicki: Kazimierz hr. Wodzicki w piśmiennictwie niemieckiem (w niniejszym numerze „Łowca“, na str. 192).

**) Hodowla, wychowanie i tresura wyżła dowodnego. Poznań. 1927. Św. Wojciech.

Błąd druku. W „Notatkach bibljograficznych“ „*Łowca*“ Nr. 10 (październik) na str. 184., szpalta 1., w tytule książki ks. Niedbała zamiast „wyżła domowego“ ma być **„dowodnego“.**

Korespondencja

Myśliwski konkurs Fotograficzny.

Redakcja „Łowca Polskiego“ w chwili przekształcenia go na tygodnik, dążąc do udoskonalenia strony ilustracyjnej pisma, ogłasza niniejszem myśliwski konkurs fotograficzny i wzywa ogół myśliwych do nadesłania ciekawych i pięknych zdjęć łowieckich, które nadawałyby się do reprodukcji w naszem piśmie.

Nazwisko należy pomieścić w zamkniętej kopercie, zaopatrzonej godłem tem samem, co i nadesłane fotografje.

Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z polowań, zwierzyna żywa i ubita, piękne psy myśliwskie oraz trofea łowieckie.

Jako nagrodę I. wyznaczamy zł 75·—; II. zł 50·—; III. zł 25·—; IV. książkę treści łowieckiej lub prenumeratę bezpłatną przez pół roku.

Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 1. grudnia. Nagrodzone fotografje zostaną zamieszczone w „Łowcu Polskim“.

„Jury“ stanowi Komitet Redakcyjny. Warszawa, Nowy Świat 35.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z „Drukarni Narodowej“, Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.

Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.